

Dwóch premierów: (11) Następca Doumergue'a

Flandin — mieszczański minister

Sylwetka nowego premiera Francji

W numerze śródownym „ABC” zamieściło na stronie 8-ej pierwszy artykuł z cyklu „Dwóch premierów”, dający sylwetkę Gastona Doumergue'a i jako polityka i jako człowieka, i wreszcie jako bohatera niezliczonych anegdotek, jakie o nim opowiadają we Francji o popularnym b. Prezydencie Republiki. Doś — w drugim artykule cyklu kroślimy charakterystykę następcy Doumergue'a, Piotra Stefana Flandin.

„Młodzi” premierowie

Gdy ustępujący Gaston Doumergue przekroczył już siedemdziesiątkę, nowy premier jest w sile wieku. Do lat pięćdziesięciu pozostało mu jeszcze cztery lata, a we Francji, gdy do rządów dochodzą politycy pięćdziesięcioletni, zaczyna się mówić — oho, kurs na młodych! I istotnie, żeby znaleźć również „młodego” premiera, trzeba się cofnąć aż do Gambetty. Zresztą, w swoim czasie, gdy premierem został Tardieu, wypowiadano zdanie, że młodsze pokolenie dochodzi do głosu.

Jezeli prawie pięćdziesięcioletni Flandin nazywany jest młodym, to stanowi to miarę republikańskiego konserwatyzmu Francji. Stary Doumergue był bardziej rewolucyjny niż „młody” Flandin.

Ale jakżeż Flandin, ma być rewolucyjny, jakżeż ma być reformatorem, kiedy pochodzi z rodziny o tradycjach nawskroś mieszczańskich i republikańskich. Dziadkiem Flandin'a ze strony matki był Hipolit Ribière, prefekt Obrony Narodowej, inny Ribière — wujek — był senatorem, Flandin — ojciec, gubernatorem w Algierze, deputowanym, senatorem, w końcu Rezydentem Generalnym w Tunisie, obok tego — w rodzinie matki, generał Sonis, bohater trójkolorowego sztandaru i równocześnie bohater Sacré-Coeur, którego proces kanonizacyjny toczy się obecnie w Rzymie.

Tradycja ma swoją wagę...

Rodzina ojca, Flandin'owie byli radykałami. Byli również republikańskimi zaciekłymi, formalistycznymi, gotowymi zawsze do ataku na wszystkich, którzy lekceważyli prawo Republiki.

Posiadać takich przodków, to coś znaczy. We Francji cenią wartość tradycji i jest żartobliwe powiedzenie, że przeszłość rodziny to jakby katapulta, która rzuca w świat nowego spadkobiercę ojcowskich zasług. Zaczynał zresztą Flandin, tak jak wszyscy z

jego rodziny: pierwszy krok to studia prawnicze, drugi — interesy finansowe i zdobycie znajomości najważniejszej gałęzi ekonomii, t. j. ekonomii praktycznej, życiowej, prowadzącej drogą szybko do zrobienia fortuny. Dodajmy, że w tem Flandin niezgorzej się wyspecjalizował, skoro ostatnio zajmował stanowisko radcy prawnego głośnych przedsiębiorstw Boussac'a.

Mieszczenie, wielcy, zamożni mieszczenie francuscy mają swe zalety i wady. Stałość, rozsądek, równowaga, życiowa, poczucie godności domu rodzinnego — to będzie na liście zalet, z których zresztą wynika pewien brak, mianowicie ograniczenie horyzontu myśli. Zainteresowania Flandin'ów nie wybiegają poza granice Francji. Flandin'owie, stosując zasadę „noblesse oblige” do swej opinii starych, wypróbowanych radykałów, udawali ludzi między narodowych, obywateli całego świata, kosmopolitów nowoczesnych i liberalnych, zaś w istocie rzeczy byli właściwie niewolnikami śródowności, z którego pochodzili. Waldeck-Rousseau, również pochodzący z rodziny mieszczańskiej, był przedewszystkiem mężem stanu polityki wewnętrznej. Jeden z wybitnych ambasadorów, współczesny Waldeckowi-Rousseau opowiadał, że w ciągu trzech lat, kiedy stykał się z osobami z premierem, a były to lata obfite w wydarzenia polityczne, ani razu nie słyszał, żeby Waldeck-Rousseau wypowiadał swą opinię o polityce zagranicznej.

Flandin — finansista

Flandin ma w karierze stanowisko ministra skarbu. Był tu następcą osławionego Chérona. Podobno Chéron, gdy po nominacji przybył do Ministerstwa, spytał najpierw, gdzie jest wykaz dochodów państwowych i gdzie są przechowywane wpływy bieżące. Flandin przeciwnie, zaczął urzędowanie od zainteresowania się wydatkami i koniecznością najbliższych płatności. Pozatem Flandin, podkreślający lekko swój charakter republikańskiego mieszczanina — patrycjusza, nigdy nie postąpił tak, jak Chéron zrobił to raz na oficjalnym bankiecie. Chéron, siedząc przy stole, z białą serwetką założoną pod brodę i zajądając w najlepsze, wdał się w rozmowę z usługującym kelnerem. Mało tego, za-

czął go wypyttywać, co też sądzi o ostatnich zarządzaniach skarbowych. Flandin, siedzący obok... cierpiał w milczeniu.

Mieszczanin ceni obowiązek...

Charakterystyczne, że Flandin nigdy nie zaniedbuje swych obowiązków radnego w rodzinnym Donnelly-sur-Cure. Wydaje się trochę dziwne, ażeby minister o puszczał nagłe stolicę i jechał na małosłowne zebranie rady miejskiej w niewielkim, prowincjonalnym miasteczku. A jednak Flandin zawsze jest obecny na posiedzeniu. W tem poszanowaniu nawet dla drobnych obowiązków przebiega mieszczańska skrupulatność i solidność.

...le ceni też i odpoczynek

Prawdziwy francuski mieszczanin po pracowitym dniu spokojnie zjada obiad, idzie do teatru, lub czyta gazety, czy przyjmuje wizyty i o północy leży już w łóżku. O Flandinie opowiadają następującą anegdotę.

W Izbie Gmin późnym wieczorem, rozpoczęła się debata nad sprawą, w której Flandin był bezpośrednio zaangażowany. Atakowano go i oskarżano gwałtownie. Flandin słuchał spokojnie zarzutów, lecz gdy zrobiło się już późno, a nic nie zapowiadało bliskiego końca posiedzenia, Flandin odjechał do domu.

Posiedzenie trwało przez całą noc — nad ranem około sprawy Flandina wytworzono już niemal atmosferę skandalu. Flandin wstał o ósmej rano, ogolił się, ubrał, w czasie porannego spaceru sekretarz zreferował mu treść obrad nocnych i o godz. 10-ej Flandin w parlamencie wstąpił na trybunę i w świetnym przemówieniu obronił swą pozycję.

Doumergue i Flandin

Flandin zajął miejsce po Doumergue'u, który opuścił prezydenturę Rady Ministrów niemal w głorji ojca ojczyzny. Taka spuścizna zobowiązuje. Zobowiązuje tembardziej, że Flandin doszedł do władzy po „zdradzie” Herrieta w gabinecie Doumergue'a. Przeprowadzają więc porównania między Flandin'em a Doumergue'iem. Twierdzą, że Flandin mniej przywiązuje wagi do zmian ustawowych w ustroju Francji, więcej — do zmian faktycznych. Wzmocnienie władzy wykonawczej chce oprzeć raczej nie na

prawem jej wzmocnieniu, lecz na wzroście autorytetu rządu.

Flandin'a oddawna uważano za się pozostającą w rezerwie. Doumergue to była linja frontu, Flandin — linja odwodu. Dziś wyprowadzono rezerwę do walki. Przed rokiem pewien członek partii radykałów — socjalnych prorokował, że Flandin nieadługo będzie premierem. Przepowiednia spełniła się. Nie wiadomo tylko jeszcze, czy dla Francji była to przepowiednia dobra, czy zła. Flandin zebrał wiele oklasków i wiele głosów, przedstawiając się Izbie. W deklaracji obiecał niemal wszystko wszystkim. Teraz wszyscy zaczęli domagać się wszystkiego. Zdaje się, na tych formułach polega wogóle zasada t. zw. rozejmu partyjnego. Gdy okazuje się w końcu, że dogodzenie wszystkim było czczą obietnicą, rozejm przyska.

(b.)

Strajk w zakładzie rymarskim

W zakładzie rymarskim przy ul. Okopowej 8, pracującym na potrzeby wojska, trwa od soboty strajk, który objął 70 robotników. Strajkujący wysunęli żądanie podwyżki płac, aczkolwiek uprzednio stawki płac były uzgodnione na terenie Inspekcji Pracy między dyrekcją fabryki i delegatami robotników.

Oblała brata kwasem siarczanym

Hena Dykstażajówna (nigdzie nie-meldowana), żywiąca do brata swego, Hersza (Twarda 23) nienawidzi, dwukrotnie dokonywała na niego zamachu, oblewając kwasem siarczanym. Sześciu innymi zbiegami okoliczności w obu wypadkach skończyło się tylko na częściowym zniszczeniu garderoby poszkodowanego.

Wobec tego, że siostra w dalszym ciągu występuje z pogrózkami przeciw bratu, Dykstażaj zwrócił się do policji ze skargą, prosząc o ukaranie sprawczyni. Po sporządzeniu protokołu, sprawę przekazano władzom sądowym.

Podróżuj samolotem

nie: „Dlaczego właśnie oni?”. Niepokój o siebie przemienił się obecnie u kolegów w szczere współczucie dla majora i porucznika.

Tatarek nadrabiał miną, ale widać było, że z trudem mu to przychodzi.

— Czego biadacie?! Nie ma co ich żałować! Że majorowi pozwolą zabrać się stąd?! A co, nie zasłużył sobie na to? A co do Globusa, też jasna sprawa. Nietylko na porucznika, ale i na kapitana za stary, tembardziej, że zostałby nim za parę lat — może. Poco się miał tu męczyć? Niech idzie, będzie czarujący emeryt z niego, zresztą może jeszcze zrobić karierę. Prezentuje się dobre, po francusku i angielsku gada, zobaczycie, że będzie wkrótce — czy ja wiem? — może konsulem, bo ponoć caveat consules... to jest, chciałem powiedzieć, wójtowie w gminach.

— Pst, dajcie spokój — mitygował go Mirek — już raz byłeś przy raporcie za „niewyparzoną gębę”. Chcesz drugi raz pójść?

— A niech będzie! nie mogę powiedzieć, że mi żal ich?

— Możesz, ale w ten sposób — nie!

— A! — Tatarek machnął ręką i poszedł do domu. Długo siedział tego wieczoru w swym fotelu i patrzył w ciemne szyby. Co myślał, niewiadomo. Bez wyrazu i jakby skostniała miał twarz, kpiarz i wesołek garnizonu.

Siedział do późnej nocy i Norowski. Podparł głowę rękami i coś mówił do siebie. Bezdźwięcznie poruszał ustami, to potakiwał czasem, to znów zaprzeczał czemuś, wreszcie westchnął prawie z jękiem i schował szybko głowę w ramiona, żeby nikt nie widział, jak mu coś przesłoniło źrenice i spłynęło. słoną goryczą do gardła.

(D. c. n.).

Paryż w dzień i w nocy

Obrazek z paryskiego metro

Paryż drga ruchem i życiem. Sznuiry aut suną ulicami, wymijając zwinne niezgrabne, pługowe autobusy. Na chodnikach tłumi ludzi. Jedni tkwią nieruchomo, oglądając wystawy sklepowe, inni znów śpieszą potrącając przechodniów. Wykrzykują co chwila „pardon”, „excusez”. Niekiedy dodają werwy wolniczym, tym, którzy mniej się śpieszą, krótkim „allez, allez!”.

Tłum faluje, zamiera w bezruchu ściśnięty w szeregach, oczekujących na możliwość przejścia, skupia się, lub rozspina na luźne gromadki przechodniów. A pod powierzchnią, w głębi ziemi, mkną z błyskawiczną szybkością wagony „metra”, przynosząc ludzi w przeciągu kilku minut z jednego krańca miasta na drugi.

Kiedy się schodzi do tej otchłani, gdzie huk maszyn i pisk hamulców zagłusza, mowę pasażerów, czuje się woszu ozonu, zmieszanego z wonią potu ludzkiego. Znają ją dobrze paryżanie, bo kilka razy w ciągu dnia muszą jechać metrem. Można co prawda wsiąść do autobusu, ale robi się to tylko dla przyjemności, bo metro jest szybsze. Zduszone, zgniecione tłumy nie mogą w codziennym życiu wyzbyć się tej przykłej konieczności.

Około godziny 9-ej stłoczeni w wagonach urzędnicy, biuralistki i inni pracownicy jadą do swoich „warsztatów zajęć”. Nieraz wydaje się, że to podziemne bóstwo postanowiło dowiedzieć, iż elastyczność masy ludzkiej jest nieograniczona. Przeciśnięci do siebie kołyszają się miarowo w takt ruchu „metra”. Upadek jest niemożliwy poprostu dlatego, że brakuje miejsca. Znajomość zawziętej się między pasażerami w przeciągu krótkiej chwili. Widzi się przed sobą jedynie plecy, kark, ramiona. Trzeba zrezygnować z zobaczenia rysów i trwać tak w odrętwieniu i bezruchu, odczuwając jedynie strach przed uduszeniem.

I tak aż do przystanku, gdzie tłum popycha się i tłocząc wylewa się na zmyte deszczem chodniki. Ludzie zdają się być automatami i dopiero po chwili nabierają znowu życia.

O g. 6-ej pracownia rzesza, zwolniona z karbow obowiązków, odzyskuje swą zwykłą werwę. Maszynistki przekształcają się w wesołe, pogodnie dziewczęta, gaworzące pomiędzy sobą. Dojrzały mężczyźni okiem znawców badają twarzyczki różowe od szminki i wyszukują tej, z którą zetknęli ich przychylny los przy drzwiach wagonu. Może zwykłe „przepraszam” ułatwi nawiązanie rozmowy.

— Gdzie zamierza pani spędzić wieczór?...

Może właśnie spędzi go z nim, kto wie?...

Godzina 23-cia trzydzieści. Przy

ostatnim wagonie podziemnej kolejki stoi gromadka dziewcząt w wieku od lat 12-tu do 16-tu. Przybywa ich coraz to więcej i więcej. Posuwisty krok, niekiedy mile, „ah!...” i jeszcze jeden uśmiech zająśnieje w mroku wieczornym peronu.

Wagon, prawie pusty dotychczas, napelnia się teraz w mgnieniu oka ruchliwym, szebieńczącym tłumem. Spod małych berecików przeladują krótkie włosy. Leki są luksusy, używanym przez „damy”. Te młode kobiety nie znają wymyślnych uczesań.

Są takie między niemi, które mówią ot tak sobie, byle coś powiedzieć, tak, jak za dobrych „dziecinnych” lat „dla wyrobienia głosu”.

— Lubisz pytać, która godzina?...

— Ja?... Przepadam za tem...

Ta co siedzi naprzeciwko, niebardzo rozumie, o co chodzi, ale wreszcie orientując się, że chodzi o umiejętną rozpoczęcie rozmowy z mężczyzną.

— Ja także; a czy lubisz „math”?

Znajdują wreszcie temat poważniejszy. Mała zabiera się do zawilego tłumaczenia, z którego wynika, że niektóre zadania na trójkąty równoramienne i równoboczne nie są bynajmniej łatwe. Zapal ognia uczone kursów, ale na krótko, bo nagle urywa w płowie zdania, milknie, a po chwili dotrzuca jakby odniechcenia:

— Właściwie to przecież siedzę na końcu klasy i nigdy nie słucham, co „ona” tam mówi!

Tłum dziewcząt przepycha się tam i spowrotem, faluje. Oto jakaś mała, wydawszy okrzyk „jak się masz!”, stara się przedostać przez ciżbę, żeby powitać grubą towarzyszkę podróży, a potem staje bezradna i nie wie właściwie, co powiedzieć.

— Dzieńdobry!

— Dzieńdobry!

I na tem kończy się ten jedyny w swoim rodzaju dialog, dla którego skotłowano cały wagon jadący.

— A jak tam z historią?...

— Jeszcze jej nawet nie dotknęłam.

— To może chcesz, żeby ci opowiedział lekcję?...

I zaczyna się cytowanie dosłownych części zdań z jakiegoś przestarzałego już podręcznika, w którym pogląd na Joannę d'Arc jest niemal identyczny z poglądem na Ludwika XV, albo Katarzynę Wielką. Panza, i mała „znawczyni” historii dodaje tonem beztroskim: „Przedtem można się nauczyć napamięć, a prztem jest się pewną tego, że rzecz się rozumie, n'est-ce pas?”

Dojeżdżając do bramy Saint-Cloud zaczynają się żegnać, bo mając lat 15-cie, jest się bardzo grzeczną. Trzeba więc uściśnić dłoń każdej z towarzyszek.

Godzina pierwsza w nocy. Ostatnie metro. Panie w sukniach wieczorowych, panowie we frakach lub smokingach, a obok nich robotnicy, stróża nocni i... reporterzy.

Cisza. Znużenie przytacza trych, którzy wracają z zabawy. Rozfryzowane loki, ściera szminkę z bluszczącej potem skóry, załamuje wykreomalne gorsy.

Mężczyzna podaje ramię kobiecie. Zwykła grzeczność. Są jednak dla siebie oboję, a nawet się nienawidzą. O tej godzinie, zmęczeni nieprzespaną nocą, nie udają bynajmniej, więc kroczą ulicą tak, jak nieraz w życiu — jedno obok drugiego, a jednak jak-żecz dalecy...

W kącie wagonu śpi jakiś młody mężczyzna. Na każdej stacji otwiera nieprzytomnie oczy, rzuca dookoła niepewnym wzrokiem i po chwili znów kryje twarz w podniesionym kołnierzu płaszcza. Młoda dziewczyna przylgnęła się zmęczonym wzrokiem załamaniom światła w szbach, tajemniczym cieniem, barwnym plakatami ogłoszeń.

Stróż nocny stojąc w przeciwnym kącie czyta wiadomości sportowe.

Jakaś para spóźniona, z dłońmi splecionymi w uścisku, przysłała sobie ocyzma przyrzeczenia wierności. Mileją... bo o tej godzinie już nawet zakochani nie mówią do siebie nie.

(a.)

J. Jukowski

MAŁY GARNIZON

POWIEŚĆ

— Tak sobie, w tej chwili właśnie patrzyłem na ciebie. A nie gniewaj się, bo ci chcę coś przyjemnego powiedzieć. Tobie i wam wszystkim. A mianowicie: i ty i każdy z nas, wojskowych, ma pod tym względem swoją kulturę. Nasz zawód, z natury rzeczy, miał, ma i będzie miał charakter walki; dążenie i sposobienie się do walki! A tem samem, czyż możemy myśleć o spokoju? Rozumiecie? Dla jasności, porównajmy zawód np. urzędnika tej lub innej instytucji. Nie wszystkich naturalnie, ale większości ich. Otóż ci pracą swą chcą zaasekurować siebie, wraz z rodziną, na przyszłość i jeśli ich spotyka przyjemność spoczynku przed upływem, a raczej przed wysłużeniem 35 lat, to się mogą złożyć, bo nie osiagają celu. A my, jak się mamy zachować, gdy nas to spotka? Po pierwsze: dyscyplina. Z chwilą, gdy w górę uznają, że mamy pójść, to trzeba iść. Bez żalu i bez skarg! Po drugie: dostajemy takie zaopatrzenie emerytalne, że można żyć, a po trzecie, nie idziemy jako zniechęceni starcy, lecz z pewnym jeszcze, wystarczającym zasobem sił, by pracować.

— Tak, w dzisiejszych czasach?! Dostaniesz coś?! — ironicznie odezwał się Miechle.

— To już kwestia umiejętności urzędowania się, zresztą i pod tym względem pamiętają o nas. Są okólniki różnych urzędów, instytucji i t. p. o zatrudnianiu

64)

„wysłużonych” wojskowych — a ostatecznie, powtarzam można żyć i z emerytury.

— Zapominaś o jednej rzeczy, Tatarku — przerwał Mirek — i to o tem, co sam mówiłeś. A mianowicie o te kulturze wojskowej. Co do reszty, zgadzam się. Kwestja materialna, obniżenie stopy życiowej i t. d. dadzą się ścierpieć. Ale wiesz czego boimy się? Wiesz co np. dla mnie byłoby strasznie bolesne?! Wyrwanie żywem człowieka z jego umiłowanego fachu! Pozbawienie go rozkoszy pracy, którą żyje i to wtedy, gdy jeszcze czuje się na siłach. Mówi się trudno, wie się, że to konieczne z tych czy innych względów, ale, Tatarku, uważam, niepotrzebnie i niesłusznie dziwisz się naszemu niepokojowi.

— Nie, aż nadto dobrze rozumiem to. Ale coż robić? Sam tyle razy mówiłeś o ponoszeniu ofiar, o poświęceniu się; przyjmijmy, że to robimy i w ten sposób spokojnie oczekujemy, kogo los wybierze.

— Uf — westchnął naraz Wołowy — to niby ładnie, tylko który to będzie z nas?

— Masz go, który?! Ja! do cholery — zezłościł się Tatarek. — Już kazałem sobie miarę wziąć na cylinder.

Tymczasem nie on okazał się wybrańcem losu. Lista, o której jednego dnia mówiono, że już przygotowana, drugiego dnia, że już podpisana, to znowu, że już jest w druku, nie ukazywała się, aż wreszcie spadła jak grom z jasnego nieba w formie dziennika personalnego, który usuwał z zajmowanych stanowisk majora Norowskiego i porucznika Globusa i oddawał ich do dyspozycji korpusu. Zwykła procedura przed przeniesieniem w stan spoczynku. W garnizonie zakotłowało się. Była to rzeczywiście sensacja. Norowski i Globus! To była zupełna niespodzianka. Omal, że wyłącznym tematem rozmów był ten fakt. Wszystkim nasuwało się natrętne pyta-

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (druki, polityczny i ekonomiczny); 6.66.61 (czł. redakcji i liter.-art.); 6.66.63 (międzyimienisty). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11—12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691.64; Prenumerata 691.66. Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny: — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Czerwona 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto czekowe P. K. O. Nr. 13550.

Redaktor odpowiedzialny: Józef Matuszyński

Druk. Literacka S. z o. o., Warszawa, Nowy Świat 22, tel. 666-64

Wydawca: MAZOWIECKA SPÓŁKA WYDAWNICZA

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalat); na 1-ej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy. a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński.